

SYLVIA PLATH

Opowiadania wszystkie

PRZEŁOŻYŁA AGA ZANO

MARGINESY

Johnny Panic and the Bible of Dreams & Mary Ventura

COPYRIGHT © Sylvia Plath 1952, 1953, 1954, 1955, 1956,
1957, 1960, 1961, 1962, 1963

COPYRIGHT © 2019 BY The Estate of Sylvia Plath
Published by arrangement with AJA Anna Jarota Agency

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY
Aga Zano

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

Ameryko! Ameryko!

Uczęszczałam do szkół publicznych – naprawdę publicznych. Chodził tam każdy: zuchwali, nieśmiali, cieniasy i grubasy, przyszły profesor elektroniki i przyszły gliniarz, który miał kiedyś skopać cukrzyka na śmierć w błędnym przekonaniu, że ma do czynienia z narwanym ochlapusem; biedni, cuchnący skisłą wełną i zasikany dzieckiem, wyłowieni z wielojęzycznego gulaszu; bogatsi, z wyliniałymi futrzany-
mi kołnierzami, horoskopową biżuterią z opali i tatusiami, co mieli samochody („A twój tatu to co robia?”. „Mój tatu nic nie robia, awtobusem keruje”. Śmiech). Oto ona – Edukacja – porcjowana zupełnie bez opłaty dla naszej gromady, dla tego uroczego plastra załamane-
go amerykańskiego społeczeństwa. Myśmy oczywiście załamani nie byli. To zostawialiśmy naszym rodzicom, którzy wysupłali z siebie dziecko albo dwoje, a po pracy i podłej kolacji flaczeli głucho przy radiu, by posłuchać wiadomości o „ojczyźnie” i o czarnowąsym panu, co się nazywał Hitler.

Ponad wszystko czuliśmy się Amerykanami w rozjazgotanym nadmorskim miasteczku, gdzie jak kłaczki do ubrania przylepiło się do mnie pierwsze dziesięć lat szkoły – a wraz z nim wrzaskliwy kłęb irlandzkich katolików, niemieckich Żydów, Szwedów, Murzynów i Włochów, choć bywało też, że skapnęła między nas ta rzadka, czysta kropla z „May-

flower”, ktoś z Anglii. I na całym tym podróżującym trzecią klasą towarzystwie ząbkujących obywateli należało, za sprawą darmowych szkół publicznych, odcisnąć doktryny Wolności i Równości. I choć mogliśmy się prawie nazywać bostończykami (miejskie lotnisko, zawsze otoczone chmurą pięknych samolotów i srebrnych sterowców, warczało i lśniło po drugiej stronie zatoki), to ikonami zdobiącymi ściany naszej klasy były nowojorskie wieżowce, Nowy Jork i wielka zielona królowa z lampką nocną, która miała symbolizować Wolność.

Codziennie rano z dłonią na sercu przysięgaliśmy wierność fladze z pasków i gwiazd wiszącej nad biurkiem nauczyciela niczym obrus napowietrznego ołtarza. I do niemożliwych, rozchwianych sopranów śpiewaliśmy hymny pełne dymu, prochu i patriotyzmu. Był jeden taki, wysoki i szlachetny – „Pnie się majestat górski nad żyzną równiną” – przy którym zawsze czułam, że jest we mnie maleńki poeta, nie większy od krewetki, który szlocha ze wzruszenia. Nie umiałabym wyjaśnić różnicy między żyzną doliną a górskim majestatem, myślałam Pana Boga z Jerzym Waszyngtonem (którego jagnięca, babcina twarz okolona żaluzjami schludnych białych loków oświeślała nas swym blaskiem z klasowej ściany), a mimo to z całym zastępem małych zasmarkanych rodaków świergotałam: „Ameryko! Ameryko! Łaską cię otoczył Pan i dobro twe w braterstwie cne wśród mórz na chwałę nam”.

O morzu coś niecoś wiedzieliśmy. Było stacją końcową niemal każdej ulicy, wierzgało, chlupało i ciskało się na boki, wypływając ze swej szarej bezkształtności porcelanowe talerze, drewniane małpki, gustowne muszle i buty martwych ludzi. Mokre słone wiatry bez końca szarpały naszymi płacami zabaw – tymi gotyckimi kompozytami żwiru, makadamu,

granitu i łysej, wymłóconej ziemi, złośliwie zaprojektowanej tak, by szorować i odzierać ze skóry delikatne dziecięce kolana. Tam wymienialiśmy się kartami do gry (walutą były wzory na koszulkach) i makabrycznymi historiami, skakaliśmy przez sznur do prania, graliśmy w kulki i odgrywaliśmy scenki ze słuchowisk i komiksów naszych czasów („Kto wie, co się czai w ludzkich sercach? Cień, tajemniczy mściciel! Mua ha, ha, ha!” albo „Czy to ptak? Czy to samolot? Nie, to Superman!”). Może i było nam pisane jakieś wyjątkowe zakończenie – pisane, obiecane, ograniczane, wyrokowane – ale myśmy tego nie czuli. Odbijaliśmy się i przelewali ze szkolnych ławek na boisko do gry w dwa ognie, otwarci i pełni nadziei jak to morze tuż za rogiem.

W końcu mogliśmy się stać każdym. Wystarczyło się postarać. Wystarczyło się dość pilnie uczyć. Nie liczyły się nasze akcenty, pieniądze, rodzice. Bo czyż nie wyrastali prawnicy z łędzwi górników, doktorzy z kubłów śmieciarzy? Kluczem było wykształcenie i Bóg jeden wie, jak nam ono przychodziło. We wczesnych latach chyba jakimś niewidzialnym sposobem, jakby za sprawą mistycznego promieniowania w podczerwieni przenikały nam do głów tabliczki mnożenia z wymiętoszonych stronic zeszytów, ponure wiersze wychwalające rzeńskie paździenikowe poranki oraz cały świat historii, zaczynającej się i kończącej plus minus na herbatce bostońskiej – pielgrzymi i Indianie zaś majaczyli w mrokach pradziejów równie daleko jak eohippus.

Później miała nas ogarnąć obsesja na punkcie college’u, nieuchwytny, przerażający wirus. Każdy musiał się do jakiegoś dostać, tego czy innego. Biznesowego, zawodowego, sekretarskiego, Ligi Bluszczowej, dla hodowców świń. Najpierw do

książek, potem do pracy. A kiedy wystrzeliliśmy (zarówno przyszły gliniarz, jak i mózg od elektroniki) prosto do świetnie prosperującego powojennego liceum, doradcy zawodowi w ciągle kurczących się interwałach suszyli nam głowę i wypytывali o motywację, nadzieje, ulubione przedmioty, wymarzone zawody, pracę – i college. Znakomici nauczyciele obsypywali nas wiedzą jak deszczami meteorytów: biolodzy pokazywali ludzkie mózgi, angliści z ideologicznym zapałem rozwodzili się nad dziełami Tolstoja i Platona, plastycy zabierali na spacer po bostońskich slumsach, a następnie sadzali przed sztalugami, zachęcając, byśmy w słusznym gniewie uświadomionej społecznie młodzieży ciskali w nie kupionym za publiczne pieniądze gwaszem. Za to wszelkie przejawy ekscentryczności, asocjowane z jednostkami nadto wyjątkowymi, próbowano nam łagodnie wyperswadować, jak oducza się dziecko ssania kciuka.

Doradczyni dla dziewcząt od razu zdiagnozowała mój problem. Byłam po prostu niebezpiecznie bystra. Sznureczek doskonałych ocen mógl, nieutemperowany odpowiednio skomponowanym zestawem zajęć pozalekcyjnych, wciągnąć mnie w otchłań. Coraz więcej uczelni życzyło sobie Studentów Wszechstronnie Wykształconych. Do tamtej pory zdążyłam zapisać się na zajęcia z przejawów makiawelizmu w historii najnowszej. Zrozumiałam aluzję.

Należy tutaj dodać, że doradczyni miała – o czym nie mogłam wiedzieć – identyczną białowłosą bliźniaczkę, którą co rusz spotykałam u dentysty czy w supermarkecie. Teżę bliźniaczce zwierzałam się ze swych coraz szerzej zakrojonych wysiłków. Żułam cząstki pomarańczy podczas kwart meczów koszykówki (dostałam się do żeńskiej drużyny), malowałam monstualne sylwetki L'il Abnera i Daisy Mae na klasowe

potkańcówki, kleiłam o północy makiety szkolnej gazetki, podczas gdy mój bez troski współredaktor czytał na głos żarty w „New Yorkerze”. Pusty, dziwnie przytłumiony wyraz twarzy bliźniaczki spotykanej na ulicy w ogóle mnie nie zniechęcał, podobnie jak amnezja jej białowłosej sobowtórki w szkolnym gabinecie. Zmieniłam się w toczącą pianę z ust nastoletnią pragmatyczkę.

– Użyteczność jest Prawdą, a Prawda Użytecznością – marmotałam na przykład pod nosem, poprawiając skarpetki do kostek, żeby wyglądały jak u koleżanek. W szkole niby nie było mundurków, ale tak naprawdę były: włosy na pazia, czyste do połysku, spódniczka i sweterek, do tego pantofle – poobcierane kopie indiańskich mokasynów. Nawet w naszym demokratycznym gmachu dokarmiało się dwa relikty snobizmu w postaci dwóch stowarzyszeń siostrzeńskich: Subdeb i Sugar’n’Spice. Na początku każdego roku szkolnego stare członkinie rozsyłały zaproszenia nowym – tym ładnym, popularnym, które w takim czy innym sensie mogły uchodzić za rywalki. Nasze podlane sosem samozadowolenia dołączenie do grona ujętych w nawias upragnionej Normy poprzedzał tydzień inicjacji. Nauczyciele krytykowali ten zwyczaj, chłopcy prychnęli, ale nikt nie mógł na to zaradzić.

Przydzielono mi, jak każdej nowicjuszcze, Starszą Siostrę, która zaczęła metodycznie niszczyć mi samoocenę. Dostałam zakaz malowania się przez cały tydzień, nie mogłam się myć, czesać, zmieniać ubrania na świeże ani rozmawiać z chłopakami. Błędym świtem szłam do domu Starszej Siostry, ścieliłam jej łóżko i robiłam śniadanie. Następnie dzwigałam razem ze swoimi jej piekielnie ciężkie książki i szłam kilka kroków za nią, jak pies, do szkoły. Po drodze mogła mi wyznaczać różne

zadania: wleźć na drzewo i zwisać z gałęzi, aż spadnę, zadać niegrzeczne pytanie przechodniowi albo kręcić się przed sklepem i żebrać o zgniłe winogrona czy spleśniały ryż. Jeśli się uśmiechnęłam – to znaczy okazałam, że mam do swojego niewolnictwa stosunek choćby mgliście ironiczny – musiałam uklęknąć na chodniku i zetrzeć sobie uśmiezek z twarzy. Od pierwszego do ostatniego dzwonka Starsza Siostra miała nade mną władzę. Wieczorem śmierdziałam i wszystko mnie bolało; praca domowa bzycała mi gdzieś w tyle otępiełego, zamglonego mózgu. Byłam stopniowo przycinana do Znośnych Wymiarów.

Jakimś cudem to wprowadzenie do pustki przynależności się jednak nie przyjęło. Może od początku byłam zbyt wielkim dziwadłem. Co te starannie wyselekcjonowane kwietne pączki amerykańskiej kobiecości robiły na zebraniach siostrzeństwa? Jadły ciasto. Jadły ciasto i plotkowały o sobotnich randkach. Przywilej bycia kimkolwiek odślaniał swą drugą twarz: presji bycia każdym, ergo nikim.

Zajrzałam ostatnio przez szybę do klasy amerykańskiej szkoły podstawowej: dziecięce ławeczki i krzeselka z czystego, jasnego drewna, zabawkowe kuchenki i maleńkie dystrybutory wody. Cała anarchia, dyskomfort i zaciętość, które tak ciepło wspominałam, zostały przez ćwierć wieku załagodzone na śmierć. Jedna z klas cały poranek spędziła w autobusie na nauce płacenia za przejazd i pytania o właściwy przystanek. Czytanie (moje roczniki uczyły się tej sztuki w wieku czterech lat na skrzynkach po mydle) stało się sztuką tajemną i tak traumatyczną w przyswajaniu, że szczęście miał ten, kto dał jej radę przed dziesiątymi urodzinami. Tyle że usadzone w kółeczku dzieci się uśmiechały. I czyżbym w szafce z przy-

borami do pierwszej pomocy dostrzegła połyskujące fiolki –
uspokajacze i uciszacze dla załążka buntownika, artystki,
dziwadła?

Dzień, kiedy umarł pan Prescott

Tego dnia, kiedy stary pan Prescott umarł, było słonecznie i gorąco. Siedzieliśmy z mamą na bocznym siedzeniu roztelepanego zielonego autobusu ze stacji metra do Devonshire Terrace i przez całą drogę nas podrzucało. Pot ciekł mi po plecach, czułam to wyraźnie, a czarna lniana marynarka przylepiła się do siedzenia na amen. Przy każdym ruchu odrywała się z głośnym szelestem i posyłałam mamie rozgniewane spojrzenie: „No i masz!”, jakby to było przez nią, chociaż nie było. Ona jednak tylko siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach i w milczeniu podskakiwała i opadała. Miała zrezygnowaną minę, jakby już pogodziła się z losem.

– Mamo, posłuchaj – odezwałam się, kiedy rano zadzwoniła pani Mayfair. – Rozumiem, że jedziemy na pogrzeb, chociaż nie wierzę w pogrzeby, ale co to znaczy, że mamy siedzieć z nimi na czuwaniu?

– Tak się robi, jak ktoś bliski umiera – odparła mama bardzo rzeczowo. – Idzie się do rodziny i z nią siedzi. To trudny czas.

– No dobrze, trudny czas – drążyłam. – Ale co ja mogę zrobić, skoro nie widziałam Liz ani Bena Prescottów od dzieciństwa, tyle co raz do roku na święta, żeby dać sobie prezenty u pani Mayfair. I co, mam tam siedzieć i im podawać chusteczki?

W odpowiedzi mama się zamachnęła i dała mi po twarzy, pierwszy raz, odkąd byłam mała i całkiem nowa na świecie.

– Jedziesz ze mną – oznajmiła dystyngowanym tonem sygnalizującym ostateczny koniec ceregieli.

Tym sposobem znalazłam się w autobusie w najgorętszy dzień roku. Nie byłam pewna, jak należy się ubrać na czuwanie, ale uznałam, że dopóki włożę coś czarnego, to będzie dobrze. Wybrałam zatem bardzo elegancką czarną lnianą garsonkę i kapelusz z woalką, tak jak do biura, kiedy idziemy potem na kolację, i czułam się gotowa na wszystko.

No i dobrze, autobus hurgotał przed siebie, a myśmy jechały przez takie już naprawdę kiepskie dzielnice wschodniego Bostonu, których od dzieciństwa nie widziałam. Nie odwiedzałam swojego miasta od czasu, kiedy wyprowadziłyśmy się na wieś do ciotki Myry. Tak naprawdę brakowało mi tylko oceanu. Nawet tego dnia w autobusie przyłapałam się na wyczekiwaniu, aż zobaczę pierwszy skrawek błękitu.

– Patrz, mamó, stara plaża. – Wskazałam palcem.

Mama podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– Tak. – Potem odwróciła się w moją stronę, a jej szczupła twarz bardzo spoważniała. – Chcę być dzisiaj z ciebie dumna. Chcesz się odzywać, to się odzywaj, ale grzecznie. Tylko proszę mi bez żadnych wygłupów i docinków, bez podszczyptywania ludzi jak świniaków w chlewiku. To nieprzyzwoite.

– Och, mamó. – Westchnęłam. Bardzo mnie męczyła konieczność wiecznych wyjaśnień. – Nie wiesz, że mam rozum? I nieważne, że stary pan Prescott sam się prosił. Może i nikomu nie jest przykro, ale nie muszę od razu się zachowywać przez to niestosownie.

Wiedziałam, że to ją ruszy.

– Jak to nikomu nie jest przykro? – syknęła, upewniwszy się jednak najpierw, że nikt ze współpasażerów nie siedzi dość blisko. – Co ty tak gadasz wstrętnie?

– Oj, mamó. Dobrze wiesz, że pan Prescott miał od pani Prescott dwadzieścia lat więcej i kobieta tylko czekała, aż wreszcie umrze, żeby się mogła nacieszyć życiem. Tylko czekała. Odkąd pamiętam, był zręczliwym starym dziadem. Każdemu zawsze musiał dosolić, i wiecznie robiły mu się takie paskudne wykwity na rękach.

– Przykra dolegliwość, nic na nią nie mógł poradzić – odparła świętoszkowato. – Mógł być trochę rozdrażniony, przez to swędzenie wiecznie się drapał.

– A pamiętasz, jak w zeszłym roku przyszedł na kolację wigilijną? – ciągnęłam zawzięcie. – Usiadł przy stole i tak głośno się szorował po łapach, że nic nie było słychać, tylko to skrobanie, jakby sobie suchą skórę płatanami zdrapywał papierem ściernym, aż się sypało. Chciałabyś żyć z czymś takim?

Teraz ją przyszpiliłam. Odejście pana Prescottta bez wątpienia nikomu nie przysporzyło smutku. Więcej powiem: było najlepszym, co się mogło ludziom przytrafić.

– No cóż – sapnęła mama. – Możemy się przynajmniej cieszyć, że zmarł szybko i bez problemów. Pozostaje mieć nadzieję, że jak przyjdzie czas na mnie, to też tak odejdę.

Wtedy nagle ulice zaczęły się strasznie ścisnąć jedna w drugą i już byliśmy przy starej Devonshire Terrace, a mama pociągnęła za brzączyk. Autobus szarpnął i się zatrzymał, a ja w ostatniej chwili chwyciłam za połuszczone chromowane drążek za kierownicą, żeby nie wylecieć przez przednią szybę.

– Wielkie dzięki – fuknęłam w stronę kierowcy najbardziej lodowatym tonem i wydreptałam na ulicę.

– Pamiętaj – upomniwała mnie mama, kiedy szliśmy gęsiego przy hydrantach, tak było wąsko – pamiętaj, że zostajemy tak długo, jak będą chcieli. I bez narzekań. Po prostu idź pozmywać naczynia, nie wiem, porozmawiaj z Liz, co tam będzie potrzeba.

– Ale mam – stęknęłam. – Jak mam mówić, że przykro mi z powodu śmierci pana Prescottta, kiedy w ogóle mi nie jest przykro? Skoro tak naprawdę uważam, że dobrze się stało?

– Możesz mówić, że dzięki Panu Bogu odszedł spokojną śmiercią – poinstruowała mnie surowo. – Wtedy będziesz się trzymać samej prawdy.

Zaczęłam się denerwować dopiero w momencie, kiedy skręciliśmy na zwirowany podejździk przed starym żółtym domem Prescotttów na Devonshire Terrace. Nie było mi ani odrobinę smutno. Ganek ocieniał pomarańczowo-zielony daszek, zupełnie jak zapamiętałam, i nawet po dziesięciu latach się nie zmienił, jedynie zmniejszył. Topole, rosnące po dwie po każdej stronie drzwi, też się skurczyły, ale to wszystko.

Kiedy pomagałam mamie wejść po kamiennych schodkach, usłyszałam skrzypienie – i rzeczywiście, Ben Prescottt siedział na hamaku na werandzie i kołysał się, jakby to był każdy inny dzień, tylko nie ten, kiedy mu ojciec wykorkował. Tak sobie po prostu siedział, wysoki i patykowaty, we własnej osobie. Najbardziej mnie zaskoczyło to, że leżała przy nim jego ulubiona gitara. Jakby właśnie skończył grać *The Big Rock Candy Mountain* czy coś.

– Ben, dzień dobry – odezwała się mama żałobnym tonem. – Bardzo mi przykro.

Na jego twarzy odmalowało się zażenowanie.

– Aj, kurczę, pewnie. Wszyscy siedzą w salonie.

Otworzyłyśmy siatkowe drzwi i weszłam za mamą, na ochodnym jeszcze posławszy Benowi przelotny uśmiech. Nie wiedziałam, czy mogę się uśmiechnąć, skoro to w porządku gość, czy może ze względu na jego tatka raczej nie wypada.

W domu też wszystko wyglądało jak dawniej, ciemno, że ledwo szło cokolwiek zobaczyć, a zielone żaluzje nie pomagały. Wszystkie zostały opuszczone. Trudno było stwierdzić, czy to ze względu na pogrzeb, czy na upał. Mama po omacku znalazła drogę do salonu i odchyliła zasłonę w drzwiach.

– Lydio? – zawołała.

– Agnes? – W mroku salonu coś drgnęło, pani Prescott wyszła nam na spotkanie. Nigdy nie widziałam jej w tak dobrym stanie, mimo że upudrowaną twarz miała całą w zaciekach od płaczu.

Kobiety się objęły, wycalaowały i przez chwilę wydawały różne odgłosy świadczące o współczuciu i żalobie, a ja w tym czasie tylko stałam z boku. Wreszcie pani Prescott zwróciła się do mnie i nadstawiła policzek do ucałowania. Znow spróbowałam zrobić smutną minę, ale za nic mi nie chciało wyjść.

– Nawet pani sobie nie wyobraża, jak nas zaskoczyła ta wiadomość – powiedziałam więc tylko.

Tak naprawdę nikogo to nie zaskoczyło. Każdy wiedział, że jeszcze jeden zawal i będzie po dziadzie. Ale tak wypadało powiedzieć.

– Ach, tak. – Pani Prescott westchnęła. – Byłam pewna, że dzieli nas od tej chwili jeszcze wiele lat. – I zaprowadziła nas do salonu.

Po chwili oczy przywykły mi do półmroku i mogłam się przyjrzeć ludziom rozsadzonym po pokoju. Była tam pani Mayfair, szwagierka pani Prescott, najogromniejsza kobieta, jaką w życiu widziałam. Zajmowała miejsce przy pianinie. Da-

lej Liz – ledwo się ze mną przywitała. Miała na sobie szorty i starą koszulę, przez cały czas jarała kiepa za kiepem. Wyglądała bardzo nonszalancko jak na dziewczynę, której rano umarł ojciec, trochę blada, ale to tyle.

Kiedy wreszcie wszystkie się usadowiłyśmy, przez moment nikt się nie odzywał, jakbyśmy czekały na znak rozpoczęcia przedstawienia. Tylko pani Mayfair, uwięziona w swojej stercie tłuszczu, ocierała oczy chusteczką, lecz można było z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że to pot jej tak cieknie.

– Wielka szkoda – zaczęła mama bardzo cichym tonem. – Wielka szkoda, Lydio, że tak się to musiało stać. Tak szybko, że nawet nie wiem, kto go znalazł.

Wymówiła słowo „go” tak, jakby powinno być pisane wielką literą, ale ja uznałam, że skoro stary pan Prescott już nikomu nie będzie psuł krwi wrednym charakterem i kostropatymi łapami, to nie trzeba się tak z nim cackać. No ale pani Prescott tylko czekała na dramatyczne otwarcie.

– Och, Agnes – zaczęła, zastanawiająco rozpromieniona na twarzy – nawet mnie przy tym nie było. Liz go znalazła, biedne dziecko.

– Biedne dziecko. – Pani Mayfayr sięgnęła w chusteczkę. Wielką czerwoną twarz miała tak ściągniętą, że wyglądała jak rozpęknięty arbuz. – Poleciał jej prosto na ręce martwy, tak o.

Liz nic nie powiedziała, tylko zdusiła na wpół spalonego papierosa i zapaliła następnego. Nawet ręce się jej nie trzęsły. A wiercie mi, uważnie się przyglądałam.

– Ja byłam u rabina – podjęła pani Prescott. Ta to zawsze sobie znajdzie jakąś nową religię. Kiedykolwiek zapytać, to zawsze akurat zaprasza na kolację jakiegoś nowego pastora czy

innego kaznodzieję. A więc teraz rabin, no dobrze. – Byłam u rabina, a Liz robiła w domu obiad, kiedy tatko wrócił do domu po kąpieli. Wiesz, Agnes, jak on zawsze lubił pływać.

Mama odparła, że tak, że wie, jak pan Prescott zawsze lubił pływać.

– No więc tak – ciągnęła pani Prescott, spokojna jak ten policjant z *Obławy*. – Nie wybiło jeszcze nawet wpół do dwunastej. Tatko zawsze lubił się rano przepłynąć, nawet jak woda była lodowata, a po powrocie chciał obeschnąć na podwórku i pogadał chwilę z sąsiadem przez malwy.

– Rok temu dopiero tam ogrodzenie postawił – przerwała jej pani Mayfair, jakby to była istotna wskazówka.

– A pan Gove, ten przemiły człowiek, co mieszka przez płot z nami, pomyślał sobie, że dziwnie tatko wygląda, cały zsiniał, i nagle przestał mu odpowiadać, tylko tak stał z głupim uśmiechem i się gapił.

Liz wyglądała przez okno frontowe, skąd wciąż dobiegał cichy zgrzyt hamaka. Wydmuchiwała krążki dymu. Przez cały czas ani słowa. Tylko te krążki.

– No więc pan Gole krzyczy po Liz, ta pędem na dwór, a tatko leci na ziemię jak ścięte drzewo, pan Gove biegnie do domu po brandy, Liz trzyma tatka w ramionach...

– I co dalej? – Nie mogłam się powstrzymać, jak w dzieciństwie, kiedy mama opowiadała historie o włamywaczach.

– A potem – oznajmiła pani Prescott – tatko... odszedł, na miejscu, córce na rękach. Nawet nie dokończył brandy.

– Och, Lydio! – zachłysnęła się mama. – Przez co wyście przeszły!

Pani Prescott nie wyglądała, jakby przeszła przez cokolwiek. Pani Mayfair zaczęła szlochać w chusteczkę i wzywać

imię Pana naszego. Chyba sama się czała, żeby coś dziadowi zrobić, bo nic, tylko klepała w kółko „Przebacz nam nasze winy”, jakby sama go ukatrupiła.

– Damy sobie radę – zapewniła wdowa z dzielnym uśmiechem. – Tatko by tego chciał.

– To najlepsze, co teraz wszyscy możemy zrobić – westchnęła mama.

– Pozostaje mi mieć nadzieję, że też odejdę tak spokojnie – stwierdziła pani Prescott.

– I przebacz nam nasze winy – zawyła pani Mayfair, nie zwracając się z tą prośbą do nikogo konkretnie.

Zgrzytanie hamaka na ganku ucichło i po chwili Ben Prescott stanął w progu, mrugając za grubymi szklami okularów, żeby nas jakoś rozróżnić w ciemności.

– Głodny jestem.

– Chyba wszyscy powinniśmy coś zjeść. – Pani Prescott rozejrzała się po nas z uśmiechem. – Sąsiedzi przynieśli nam tyle zapasów, że starczy na tydzień.

– Indyk, szynka, zupa, sałatka – wyliczyła Liz znudzonego tonem kelnerki recytującej jadłospis. – Aż nie wiedziałam, gdzie to wszystko powkładać.

– Och, Lydio! – wyrwała się mama. – Pozwól, my przyszykujemy. My pomożemy. Mam nadzieję, że to nie za duży kłopot...

– Jaki tam kłopot. – Pani Prescott znów opromieniła ją swoim nowym uśmiechem. – Niech młodzi się tym zajmą.

Mama zwróciła się ku mnie i skinęła, tak po swojemu, konkretnie, a ja się zerwałam jak rażona prądem.

– Pokaż mi, gdzie co trzymacie, Liz – odezwałam się – i raz-dwa wszystko zrobimy.

Ben zaprowadził nas do kuchni, gdzie zobaczyłam starą czarną kuchenkę gazową i zlew pełen brudnych naczyń.

W pierwszej kolejności wyjęłam z niego ciężką szklankę, która się tam namaczała, i nalałam sobie wody.

– Rany, ale mi się chce pić. – I wypilałam do dna. Liz i Ben gapili się na mnie jak zahipnotyzowani. Dopiero wtedy zauważyłam, że woda dziwnie smakowała, jakbym niedokładnie umyła szklankę i na dnie zostało kilka kropel jakiegoś mocnego alkoholu.

– To – poinformowała mnie Liz, zaciągając się papierosem – była ostatnia szklanka, z której ojciec korzystał. Ale nie szkodzi.

– O, kurka wodna, przepraszam. – Szybko odstawiłam szkło. Od razu zrobiło mi się bardzo niedobrze, bo wyobraziłam sobie, jak pan Prescott przełyka ostatni raz i cały się robi siny. – Naprawdę bardzo przepraszam.

Ben posłał mi szeroki uśmiech.

– Ktoś kiedyś będzie musiał z niej znowu skorzystać.

Lubiłam Bena. Potrafił być praktyczny, kiedy zechciał.

Liz pokazała mi, co przygotować na kolację, a następnie poszła na górę się przebrać.

– Masz coś przeciwko, żebym przyniósł gitarę? – spytał Ben, kiedy wzięłam się do układania sałatki ziemniaczanej.

– Nie, czemu. A oni tam nie będą gadać? Że gitara to bardziej na imprezę niż na stypę?

– To niech sobie gadają. Naszło mnie pobrzdękać.

Kręciłam się po kuchni, a Ben nie mówił za wiele, tylko siedział z boku i grał po cichu te swoje piosenki country, od których czasami człowiekowi się zbierało na śmiech, a czasem na płacz.

– Wiesz co, Ben – zagadnęłam, krojąc indyka na zimno w plastry, żeby go wyłożyć na półmisek. – Tak się zastanawiam, czy naprawdę jest ci przykro.

Ten znowu się wyszczerzył po swojemu.

– Teraz to nie bardzo, ale mogłem być miłszy. Tak sobie myślę, że mogłem być miłszy, i tyle.

Pomyślałam o mamie i nagle to smutne, czego przez cały dzień nie mogłam znaleźć, podeszło mi do gardła.

– Będziemy teraz trochę lepsi niż wcześniej – powiedziałam, a potem zacytowałam mamę, co do tej pory nigdy by mi w głowie nie postało. – To najlepsze, co teraz wszyscy możemy zrobić. – I poszłam zdjąć z palnika podgrzaną zupę z groszku.

– Dziwne, co? – zamyślił się Ben. – Myślisz, że coś umarło i jesteś wolna, a potem się okazuje, że ci to siedzi w kiszkach i się z ciebie śmieje. W ogóle nie czuję, jakby tatko umarł. Schował się gdzieś we mnie i patrzy, co tu się wyrabia. I tylko się szczerzy.

– To może być ta dobra część – powiedziałam, nagle przekonana, że to prawda. – Ta część, od której nie musisz uciekać. Możesz ją ze sobą zabrać, a jak gdzieś stąd wyjedziesz, to nie będzie ucieczka. Tylko dorosłość.

Ben się do mnie uśmiechnął, a ja poszłam zawołać resztę. Kolacja upłynęła raczej w ciszy, było dużo dobrej szynki i indyka. Porozmawialiśmy trochę o mojej pracy w biurze ubezpieczeniowym i nawet rozbawiłam panią Mayfair opowieścią o moim szefie, panie Murrayu, i jego specjalnych cygarach do magicznych sztuczek. Od pani Prescott dowiedzieliśmy się, że Liz jest prawie zaręczona, i że bez Barry'ego to w ogóle nie jest sobą. Ani słowa o starym panu Prescottcie.

Pani Mayfair pochłonęła trzy desery.

– Tylko kawałeczek, malutki. Tylko kawałeczek! – powtarzała, kiedy podawaliśmy sobie wszyscy ciasto czekoladowe.

– Biedna Henrietta – westchnęła pani Prescott, patrząc, jak gargantuiczna szwagierka ładuje sobie lody do ust, łyżka

za łyżką. – To psychosomatyczny głód, tyle się o tym mówi. Nie może przestać jeść od tego.

Po kawie, którą Liz zmieliła w młynku, dla zapachu i żeby wszyscy zachwycili się jakością, zapadła niezręczna cisza. Mama co chwilę sięgała po filiżankę i upijała łyczek za łyczkiem, chociaż wiedziałam, że nic jej już nie zostało. Liz znowu zapaliła papierosa i siedziała w chmurze dymu. Ben składał serwetkę w szybowiec.

– No cóż. – Pani Prescott odkaszlnęła. – Chyba pójdę już z Henriettą do zakładu. Widzisz, Agnes, nie jestem staroświecka. Było napisane, że absolutnie żadnych kwiatów i że nikt się nie musi zjawiać. Ale kilku współników tatka z pracy będzie tego oczekiwać.

– Pójdę z tobą – zadeklarowała mama stanowczo.

– Dzieci nie idą – dodała wdowa. – Już miały dość wrażeń.

– Barry przyjedzie później – wtrąciła Liz. – A ja muszę pozmywać.

– Ja pozmywam – zaoferowałam, nie patrząc na mamę. – Ben mi pomoże.

– No cóż, czyli każdy ma jakieś zajęcie. – Pani Prescott pomogła szwagierce się podnieść, mama wzięła kobietę pod drugie ramię. Zanim zniknęły mi z oczu, podtrzymywały panną Mayfair z obu stron, a ta schodziła tyłem po schodkach z ganku, sapiąc jak lokomotywa. To jedyny sposób, żeby się nie wywrócić po drodze, wyjaśniła.

Skrzynka życzeń

Agnes Higgins aż za dobrze wiedziała, skąd wziął się ten błogi, nieobecny wyraz twarzy jej męża Harolda nad sokiem pomarańczowym i jajecznicą.

– No – pociągnęła nosem, mściwym gestem rozsmarowując nożem do masła dżem śliwkowy na grzance – to co tam ci się dzisiaj śniło?

– Właśnie sobie wspominałem – Harold gapił się ciętym wzrokiem gdzieś w dal, jakby na wskroś przez atrakcyjną i bezsprzecznie realną postać żony (w peniuarze w różany rzućnik, o rumianych policzkach i puszystych blond włosach, jak każdego wrześnieowego poranka) – te manuskrypty, o których rozmawialiśmy z Williamem Blakiem.

– Ale skąd wiedziałeś, że to William Blake? – podsunęła, z trudem usiłując zamaskować irytację.

Harold spojrzał na nią zaskoczony.

– Jak to skąd, przecież wyglądał jak na portretach.

I co miała na to powiedzieć Agnes? Gotowała się po cichu nad kawą, walcząc z dziwną zazdrością, która rozrastała się w niej niczym mroczny, złośliwy nowotwór od ich nocy poślubnej zaledwie trzy miesiące wcześniej, kiedy dowiedziała się o snach Harolda. Tamtej pierwszej nocy miesiąca miodowego Harold wyrwał ją ze spokojnego snu bez snów wściekłym, konwulsyjnym szarpnięciem prawej ręki. Przerażona

Agnes potrząsnęła mężem, a kiedy się obudził, zapytała czułym, macierzyńskim tonem, co się dzieje; pomyślała, że może dopadł go jakiś koszmar. Ale takie rzeczy nie u Harolda.

– Właśnie zaczynałem grać koncert „Cesarski” – wyjaśnił zaspany. – Pewnie podniosłem rękę do pierwszego akordu, kiedy mnie obudziłaś.

Na początku małżeństwa wyraziste sny Harolda bawiły Agnes. Codziennie rano pytała, co mu się śniło, a on zdawał jej sprawozdanie z tak wielką liczbą barwnych szczegółów, jakby mówił o jakimś ważnym prawdziwym wydarzeniu.

– Przedstawiano mnie właśnie towarzystwu amerykańskich poetów w Bibliotece Kongresu – mówił z przejęciem. – William Carlos Williams przyszedł w wielkim, ciężkim płaszczu, i był ten, co pisze o Nantucket, i Robinson Jeffers, który wyglądał jak Indianin, tak jak na zdjęciu w antologii. A później przyjechał Robert Frost czterodrzwiowym autem i rzucił jakąś błyskotliwą uwagę, aż się roześmiałem.

Albo:

– Widziałem piękną pustynię, całą w czerwieniach i fioletach, a każde ziarnko piasku rzucało na boki barwne rozbłyśki jak rubin albo szafir. Nad błękitnym strumieniem stał biały leopard w złote cętki, tylne łapy oparł na jednym brzegu, przednie na przeciwnym, a po jego ogonie wspinał się sznur czerwonych mrówek, wędrowały mu po grzbiecie i między oczami na drugą stronę.

Snów Harolda nie dało się uznać za nic innego jak tylko za misterne dzieła sztuki. Nie dało się zaprzeczyć, że jak na biegłego rewidenta o wyrazistym guście literackim (w drodze do pracy czytywał E. T. A. Hoffmanna, Kafkę i miesięczniki astrologiczne zamiast codziennej gazety) Harold miał niezwykle barwną i lotną wyobraźnię. Z czasem jednak jego osobliwy

zwyczaj traktowania snów jak prawdziwych, przeżywanych na jawie doświadczeń zaczął doprowadzać Agnes do furii. Czula się wykluczona. Jak gdyby mąż jedną trzecią życia spędzał pośród sław i niezwyklej legendarnych stworzeń w jakimś zachwycającym świecie, do którego Agnes nie ma żadnego dostępu, nie licząc relacji z drugiej ręki.

Z tygodnia na tydzień doskwierało jej to coraz bardziej. Za nic nie chciała rozmawiać o tym z Haroldem, odrzucały ją własne sny, o ile jakieś jej się w ogóle przytrafiały (umówmy się, nieczęsto): mroczne, złowrogie krajobrazy, zaludnione przez niepokojące, mgliste postaci. Nigdy nie potrafiła odtworzyć tych koszmarów ze szczegółami, bo ich kontury rozmywały się już przy próbie wybudzenia, i zostawało po nich tylko wspomnienie dusznej niczym powietrze przed burzą atmosfery, która prześladowała ją później i dręczyła przez cały dzień. Agnes wstydziła się mówić o tych przeblyskach grozy mężowi w obawie, że zdradziłaby tym samym niedostatki swojej wyobraźni. Jej sny – rzadkie w dodatku – na tle barokowego splendoru nocnych marzeń Harolda przedstawiały się prozaicznie i nużąco. Jak mogłaby mu na przykład powiedzieć: „Śniło mi się, że spadam” albo: „Moja matka umarła i było mi strasznie smutno”, czy też: „Coś mnie goniło, a nie mogłam uciekać”? Z ukłuciem zazdrości uświadomiła sobie w końcu, że słuchając sprawozdań z jej marzeń sennych, nawet najsuenniejszy psychoanalityk zacząłby ziewać.

Gdzie, zastanawiała się tęsknie Agnes, gdzie te żyzne dni dzieciństwa, kiedy wierzyła jeszcze we wróżki? Wtedy przynajmniej noce nie upływały jej bezsennie, a sny nie były takie bure i nieładne. Kiedy miała siedem lat na przykład, przyśniła się jej kraina ponad chmurami, gdzie na drzewach rosły skrzynki życzeń, z wyglądu przypominające młynki

do kawy. Wybierało się skrzyneczkę, dziewięć razy kręciło korbką, szepcząc do dziurki na bocznej ścianie życzenie, a ono się spełniało. Innym razem przyśniło jej się, że znalazła trzy magiczne źdźbła trawy rosnące pod skrzynką na listy na końcu jej ulicy: lśniły jak łańcuchy w Boże Narodzenie, jedno na czerwono, drugie na niebiesko, trzecie na srebrno. A w jeszcze innym śnie stała razem z młodszym bratem Michaeliem przed obitym białą elewacją domem Dody Nelson, oboje wyszli w zimowych kombinezonach, a po twardej brązowej ziemi wiły się gruzłowate korzenie klonów. Miała na rękach pasiaste biało-czerwone rękawiczki z jednym palcem; nagle, kiedy wyciągnęła przed siebie jedną dłoń, z nieba syknęło turkusowo-błękitną gumą antybiotykową. Mniej więcej tyle udało się Agnes zapamiętać z nieskończenie barwniejszych czasów dziecięcej wyobraźni. W jakim wieku została wygnana z krainy przyjaznych malowanych snów? I z jakiej przyczyny?

Harold za to niezmordowanie relacjonował jej swoje sny przy śniadaniu. Raz, w przykrym i ogólnie niesatysfakcjonującym okresie życia przed poznaniem Agnes, śniło mu się, że przez jego kuchnię przebiegł potwornie poparzony lis; miał poczerniałe futro i krwawił z kilku ran. Później, w pomyślniejszym czasie krótko po ślubie, wyznał żonie, że rudy lis znów się zjawił, cudownie uleczony, i podarował mu słoiczek czarnego atramentu. Sny z lisem były szczególnie bliskie sercu Harolda; często się powtarzały, co ciekawe, podobnie jak sen o ogromnym szczupaku.

– Był taki staw – poinformował Harold Agnes pewnego dusznego sierpniowego poranka – nad który żeśmy z moim kuzynem Albertem chodzili na ryby. No i dziś w nocy tam łowiłem i złapałem największego szczupaka, jakiego można

sobie wyobrazić, chyba prapradziadka całej reszty. Ciągnąłem z całej siły, ciągnąłem, żeby go wyjąć z wody, a on nie chciał się skończyć.

– Kiedyś – odparła Agnes, ponuro mieszając cukier w czarnej kawie – jak byłam mała, śnił mi się Superman, cały w technikolorze. Był ubrany na niebiesko, miał czerwoną pelerynę i czarne włosy, przystojny jak książę z bajki, a ja leciałam z nim pod niebem, czułam świst wiatru i lży ciekące z oczu. Przelecieliśmy nad Alabamą; poznałam, bo ziemia wyglądała jak mapa i miała napis „Alabama” na takich wielkich zielonych górach.

Harold był wyraźnie pod wrażeniem.

– A co ci się śniło wczoraj? – zapytał tonem niemal skrużonym: szczerze mówiąc, był tak pochłonięty własnymi marzeniami, że nigdy mu nawet nie przyszło do głowy przyjąć na chwilę rolę słuchacza i zapoznać się ze snami żony. Popatrzył na jej śliczne, zafrasowane oblicze z nową ciekawością: być może po raz pierwszy od wczesnych dni małżeństwa zorientował się, jak szalenie atrakcyjny widok ma po drugiej stronie stołu.

Zadane w dobrej wierze pytanie Harolda w pierwszej chwili zbiło ją z tropu; już dawno minął etap, kiedy rozważała schowanie w szafie pism Freuda o marzeniach sennych i uzbrajania się co rano w historię, którą mogłaby zaintrygować męża. Teraz jednak zdecydowała rozpaczliwie, że porzuci wszelką ostrożność i zwierzy się ze swojego kłopotu.

– Nic mi się nie śni – wyznała cichym, tragicznym tonem. – Już nie.

Harold wyraźnie się zatroskał.

– Być może – spróbował ją pocieszyć – po prostu nie dość wykorzystujesz moc swojej wyobraźni. Powinnaś potrenować. Zamknij oczy.

Agnes zamknęła oczy.

– I co widzisz? – spytał mąż z nadzieją.

Spanikowała. Pod powiekami miała pustkę.

– Nic – stwierdziła drżącym głosem. – Nic, tylko jakąś taką mgłę.

– No dobrze – odparł Harold rażno jak lekarz, który spotyka się z chorobą może i niepokojącą, ale niekoniecznie śmiertelną. – Wyobraź sobie puchar.

– Jaki konkretnie? – jęknęła błagalnie.

– To już od ciebie zależy. Ty mi go opisz.

Nie otwierając oczu, Agnes desperacko zanurkowała w głąb własnej głowy. Z ogromnym wysiłkiem przywołała niewyraźne lśniące srebrne naczynie, unoszące się gdzieś na mglistym zapleczu umysłu z takim drżeniem, jakby w każdej chwili miało zgasnąć niczym świeczka.

– Jest srebrny – zaczęła tonem niemal hardym – i ma dwa ucha.

– Świetnie. A teraz wyobraź sobie, że jest na nim jakaś scenka.

Agnes z trudem dodała na kielichu giloszowany wizerunek renifera pośród winorośli, wyskrobany kilkoma prostymi kreskami.

– Renifer w wieńcu liści winorośli.

– A jakie tam są kolory? – Harold drążył, jej zdaniem, bez litości.

– Zielony – skłamała, pospiesznie pokrywając listowie emalią. – Liście są zielone. A niebo czarne... – Była niemal dumna z tak oryginalnego pomysłu. – Renifer jest rdzawy, nakrapiany na białło.

– No dobrze. Teraz wypoleruj cały puchar do połysku.

Agnes tarła myślami wyobrażone naczynie, czując się jak oszustka.

– Ja to mam gdzieś w tyle głowy – stwierdziła ze zwątpieniem. – Wszystko widzę jakoś głęboko w tyle głowy. Ty swoje sny też?

– Ależ skąd. – Harold popatrzył na nią zaskoczony. – Widzę sny pod powiekami, jak na ekranie w kinie. Po prostu się pojawiają, nie mam z tym nic wspólnego. Nawet teraz... – zamknął oczy – o, widzę trzy lśniące korony, co się pojawiają i znikają, zawieszone na gałęziach ogromnej wierzby.

Agnes pozostało tylko ponure milczenie.

– Dasz sobie radę – zapewnił mąż pogodnie, żeby dodać jej otuchy. – Po prostu ćwicz codziennie wyobrażanie sobie różnych rzeczy, tak jak cię nauczyłem.

Nie podjęła więcej tematu. Zaczęła jednak niezwykle dużo czytać pod nieobecność męża; lektury wypełniały jej umysł obrazami. Podczas gdy mąż był w pracy, ona, ogarnięta jakąś wygłodniałą histerią, pochłaniała powieści, magazyny dla kobiet, gazety, a nawet anegdotki z *Radości gotowania*; czytała broszurki z biur podróży, ulotki reklamujące sprzęty domowe, katalog domu handlowego Sears Roebuck, instrukcje na pudełkach płatków mydlanych, opinie krytyków na koszulkach płyt winylowych – wszystko, żeby tylko nie musieć się mierzyć z pustką zionącą w jej głowie, której istnienie tak boleśnie uświadomił jej Harold. Jednak kiedy tylko odrywała wzrok od druku, chroniący ją świat liter natychmiast znikał.

Kompletnie samowystarczalna, niezmienna rzeczywistość otaczających Agnes przedmiotów zaczęła napępiać ją rozgoryczeniem. Z podszytym zazdrością podziwem gapiała się przerażona, niemal sparaliżowana, na orientalny dywanik,

na szaroniebieską tapetę, na złożone smoki zdobiące chińską wazę na kominku, na wzór z błękitno-złotych medalionów pokrywający tapicerkę sofy, na której siedziała. Miała wrażenie, że się dusi, traci dech od tych przedmiotów, których zwalista, pragmatyczna egzystencja jakimś cudem zagrażała najgłębszym, najbardziej tajemniczym efemerycznym korzeniom jej istnienia. Harold – doskonale o tym wiedziała – nie tolerowałby podobnych chętnych bzdur ze strony stołów i foteli; gdyby nie podobała mu się dana scena, gdyby go znudziła, po prostu by ją zmienił zgodnie z oczekiwaniami. Ach, rozpaczała Agnes, jeśli tylko jakaś słodka halucynacja sprawiła, że ośmiornica popęzłaby ku niej po podłodze, cała w fioletowo-pomarańczowy wzór paisley, przyjęłaby stworzenie z wdzięcznością. Wszystko, byle tylko udowodnić, że nie straciła na zawsze zdolności kształtowania świata siłą wyobraźni; że jej oko jest czymś więcej niż tylko otwartym szkiełkiem kamery nagrywającym otaczające ją zjawiska bez najmniejszej ingerencji w ich kształt.

– Róża – powtarzała głucho, jakby recytując pogrzebowy tren – jest różą, jest różą...

Pewnego ranka Agnes ze zgrozą odkryła, że przeleciała wzrokiem ostatnie pięć stron powieści, nie odnotowawszy znaczenia ani jednego słowa. Spróbowała jeszcze raz, lecz litery uciekały jej sprzed oczu, wiły się na kartce jak perfidne maleńkie żmije, sycząc coś do niej w niezrozumiałym języku. Wtedy zaczęła regularnie, co popołudnie, chodzić do kina po sąsiedzku. Nie miało dla niej znaczenia, czy widziała film już wcześniej, nawet kilka razy; płynny kalejdoskop kształtów kołysał ją, wprowadzając w rytmiczny trans; głosy koili niezrozumiałą melodią mowy, egzorcyzmując martwą ciszę z jej głowy. Wreszcie, po długich przysmilaniach i namowach,

przekonała Harolda do zakupu odbiornika telewizyjnego w planie spłat ratalnych. To było o wiele lepsze od kina; mogła spędzać całe długie popołudnia na popijaniu sherry i oglądaniu telewizji. W późniejszych dniach, kiedy Harold wracał z pracy, Agnes witała go w progu i nie bez złośliwej satysfakcji zauważała, że jego twarz rozmywa jej się przed oczami, więc może na zawołanie zmieniać mu rysy. A to dostrzegała w jego skórze odcień groszku, a to lawendy; czasami przyprowadzała mu nos jak u Greka, a czasem orli hak.

– Ale ja lubię sherry – protestowała uparcie, kiedy sesje popołudniowego picia w domowym zaciszu przestały umykać nawet rozmarzonym oczom męża, który błagał, żeby odstawiła alkohol. – Odpręża mnie.

Sherry jednak nie odprężała Agnes na tyle, by pomagać jej zasnąć. Rozmydlone sherry wizje parowały i leżała, sztywna i okrutnie trzeźwa, nerwowo wyginając pod pościelą palce jak szpony. Harold już dawno zaczął oddychać spokojnie i równo, wkroczywszy do kolejnego świata niezwykłych, cudownych przygód. Jej za to noce upływały bezsennie, w uścisku narastającej lodowatej paniki. Co gorsza, nawet nie czuła już znużenia. Wreszcie z całą wyrazistością dotarła do niej ponura prawda: zasłona snu, odświeżającego mroku zapomnienia, oddzielająca każdy poprzedni dzień od następnego, została odgarnięta z jej życia na zawsze i nieodwracalnie. Rozciągała się przed nią nieznośna perspektywa pustej jawy dni i nieprzerwanie długich nocy, umysłu skazanego na doskonałą pustkę, niezdolnego wytworzyć choćby jednego obrazu, którym mogłby przepędzić przytłaczający napór zrozumiiałych, niezależnych od jej woli stołów i krzeseł. Niewykluczone, myślała, czując niemal mdłości, że dożyje setki: kobiety w jej rodzinie były wszystkie długowieczne.

Doktor Marcus, lekarz rodzinny Higginsów, usiłował w swej poczciwości jakoś pocieszyć uskarżającą się na bezsenność pacjentkę.

– Dolegliwość na tle nerwowym, to wszystko. Dam pani kapsułki, proszę przyjmować po jednej wieczorem i zobaczymy, jak się będzie pani spało.

Agnes nie spytała lekarza, czy po lekach zacznie wreszcie śnić; schowała pudełeczko z pięćdziesięcioma pigułkami do torebki i pojechała autobusem do domu.

Dwa dni później, w ostatni piątek września, po powrocie z pracy Harold (godzinną podróż pociągiem spędził z zamkniętymi oczami, udając sen, choć tak naprawdę podróżował na szkarłatnożagielnej dawie po świetlistej rzece, gdzie białe słonie gromadziły się na brzegu i przeprowiały na drugą stronę po kryształowej wodzie w cieniu mauryjskich wieżyczek, zrobionych w całości z wielobarwnego szkła) znalazł Agnes na sofie w salonie, ubraną w jej ulubioną, dopasowaną w talii suknię wieczorową ze szmaragdowej tafty. Leżała z zamkniętymi oczami, blada i piękna jak porcelanowa lilia, a przy niej, na dywanie, puste pudełko po lekach i przewrócona szklanka po wodzie. Na jej spokojnej twarzy malował się lekki, tajemniczy uśmiech triumfu, jakby wreszcie dotarła do dalekiej, niedostępnej śmiertelnikom krainy, gdzie w końcu mogła zatańczyć z ciemnowłosym, okrytym czerwoną peleryną księciem ze snów z dzieciństwa.